

PISARZ, KSIĄŻKA I CZYTELNIK

JESZCZE KSIĄŻKA O ROSJI

Napisał ją Slonimski („Moja podróż do Rosji” — „Roj”). Wszyscy przyznają autorowi ciętą pióro, umiejętność zajęcia czytelnika. Poznajemy te zalety i w ostatniej książce. Świadczy ona również o znacznej pomysłowości i zaręczności dziennikarskiej autora. Slonimski okazał się bardzo zdolnym reporterem. Umie dobrze wszędzie zajrzeć za kulisy życia (co w Sowietach jest i trudne i ryzykowne), wydstać się z pod kurateli zbyt usłużnych oprowadzaczy, uchwycić chwilę, by zamienić parę szczyrych zdań pod okiem nieodstępnych niemal rewizorów. Obrazy, które nam rzuca, są żywe, niektóre przejmujące, jak np. goyowska scena spacerującej w westibulu wielkiego kina publiczności sowieckiej w strojach równie okropnych jak fantastycznych. Jakis żywy stragan ze starczyką, którą uruchomił kaprys reżysera, rozdając jej najdziwniejsze role. Albo scena w sądzie sowieckim; lekkość tej sali, ciężkość atmosfery fizycznej i moralnej — aż dusi. Wiele takich obrazów.

Książka Slonimskiego, zaciiekawiająca jako lektura, rzuca jednak stosunkowo niewiele światła na życie w Sowietach. Nakłada raczej żywe barwy na obrazy już zmętniałe przez ustawiczne ich puszczanie na siatkówkę drukarską. Wynikło to po części ze stanowiska autora, który uważa się za „specja” od spraw ludzkich. Malo albo wcale nie obchodzi go zagadnienia organizacyjne, polityczne, ekonomiczne, rozwój fabryki, technika. Chce wiedzieć, jak żyje człowiek w ustroju sowieckim, jak ten człowiek wygląda... To ograniczenie swiej roli do obserwacji atmosfery pojął autor bardzo szeroko. Nie rozmawiał nawet z robotnikami, nie dotarł do żadnego „udarnika”, aby go wypytać, co myśli o nowym życiu w Rosji. A to są przecież najlepsi ludzie w Sowietach. Coprawda można zgóry przypuszczać, że taka rozmowa byłaby przepuszczona przez gęsty filtr kontroli państwowej, która zapewne nie omisszałaby jej starannie zgóry wyreżyserować. Ale czy z poza maski nie widać człowieka? Czy to oblicze ludzkie, wyglądające z poza maski nie jest czasem bardziej ciekawe i charakterystyczne, niż twarz bez maski? — Brakiem tej książki jest również to, że nie mówi nam ona o chłopie. Slonimski rozmawiał dużo z pisarzami i konsulami, nie pojechał jednak na wieś sowiecką.

A ton, postawa autora? — Liczni czytelnicy kłonił Slonimskiego mogą sobie na to pytanie odpowiedzieć zgóry. Zetknięcie się z rzeczywistością sowiecką nie zmieniło poglądów Slonimskiego, znowu tylko wydobyło z nich ostrzejsze, przenikliwsze akcenty. Uwielbienie dla „budującego się gmachu socjalizmu” — przepłata się z obrzydzeniem do życia, które ten socjalizm wytworzył. Autor ubrał swoje renekcje w dwie postacie: Entuzjasty i Sceptyki. Ostatecznie, co naturalniejszego, niż takie właśnie rozdanie cół swoim uczuciom? Tak czuje, myśli prawie cała radykalna inteligencja: że w Sowietach odychają się pewne procesy słuszne i konieczne, i że mimo to życie w Sowietach jest okropne i poniżające. Ale u Slonimskiego ten stosunek ma wyrazistość i barwę, których mu brak w setkach innych artykułów i korespondencji. Jak zwykle, daje Slonimski wyraz swojemu uwielbieniu dla nauki, techniki i walki z „przesądami”. Tylko, że w Sowietach wszystko to ma inny dźwięk, niż w wyobraźni Slonimskiego. Sowiety — to wielka organizacja religijna, skupienie dogmatyków, którzy wierzą, że wyznając lenino-marksizm, uchwycili prawdziwy rytm wydarzeń, że są w posiadaniu klucza historii, niezłomnych praw rozwoju ludzkości. Ale wszystko, co jest religią, choćby religią materializmu, jest Slonimskiemu niesympatyczne. W Gandhim umie widzieć tylko zabawnego zjadacza trawy — i wogóle krowę. „Wierzący” bolszewik wydaje mu się mniej więcej warjatem. Realny byłby depiery program, żeby każdy facet miał co zjeść, żeby się kształcił w naukach przyrodniczych, a poza tem żeby robił, co chce. Wstrętem Slonimskiego do każdej „nadbudowy”, czy to religijnej, czy filozoficznej, zamyka go w kręgu dezyderatów, których nie starczy człowiekowi nietylko na życie, lecz nawet na pół godziny. Program t. zw. „szczęścia ludzkości”, mimo pozorów realizmu, jest najbardziej bezkierunkowy i nie nic nie mówiący, a przedewszystkiem wyzuty z wszel-

kiej siły motorycznej. Słuszne jest to, co mówi Slonimski, że metody przebudowy społecznej muszą być w dzisiejszym świecie bardziej precyzyjne niż dotychczas, że rewolucja jest siłą zbyt brutalną, zbyt prostą, aby mogła podjąć się zadania przebudowy społeczeństwa. Ale sama precyzja narzędzi nie nie pomoże: muszą one być na usługach jakiejś siły, stawiającej sobie swoje własne cele. Entuzjazm — zapewne. Ale każdy entuzjazm jest wiara, a każda wiara — szaleństwem. Szaleństwem potrzebnym do życia.

Zabawna rzecz: autor zjadliwych persyflazy na sarmatyzm, sam — jakimś fantastycznym zbiegiem okoliczności — odziedziczył coś z sarmatyzmu. Nie o dowiep tu chodzi, który nie jest sarmacki. Ale o ten nonszalancki stosunek autora do wszystkiego, co wychodzi poza zakres jego najbliższych zainteresowań, do czego zblizenie się naruszałyby jego przyzwyczajenia, nalogi, co przyczyniłoby mu najlżejszą facylgę. Sarmata kpił ze Szwedów, którzy „dalem jeżdżą samną”, widział świat w barszczu, flakach i gąsiorcu miodu — gardził innym życiem. Sarmatyzm Slonimskiego jest to sarmatyzm z przełomu wieków XIX i XX, z okresu popularyzacji nauki, liberalizmu i utylitaryzmu i aferyzmu Maxa Nordau. To jest świat Slonimskiego, o innym słyszeć nie chce; a że ma talent, umie więc ten stary program uwspółcześnić, sprawić, by jeszcze raz zagrała w nim krew.

Z dwoma motylami spotykamy się często w publicystyce Slonimskiego: z motywem szczerego współczucia z cierpieniami ludzkości — i to jest sympatyczny ton jego feljetonów; i ze swoistym hamletyzmem. Z jakimś hamletyzmem „oddolu”, nie gardzącym żadną kombinacją z czterech liter, w czym zresztą jego niezaprzeczona oryginalność. Zresztą nie obce są Slonimskiemu i bardziej utarte formy hamletyzmu. Finalny akord jego książki (bardzo dobrze zrobiony) na tem jest oparty: „Z uczuciem dławiającej samotności jadę przez miasto”.

Był czas, kiedy mówiono: „nie ma człowieka, gdzieby głowę skłonić” i to było „symboliczne” i „głębokie”. Dziś „bezdomność” duchowa jest motywem ogarnym, nikogo nie wzrusza. Slonimski próbuje z niej zrobić niemal stanowisko. Miarą jego talentu dziennikarskiego może być to, że mu się to częściowo udaje.

W związku z książką Slonimskiego nasuwa mi się uwaga na temat coraz bardziej panoszącej się u nas publicystyki feljetonowej. Jej wielkim reprezentantem, jakimś Leninem feljetonizmu jest Boy, który połączył szczęśliwie z talentem feljetonisty wysoką kulturę, smak, wiedzę, imponującą pracowitość. Wiem, jak pożytecznym był właśnie u nas zastępek tej (dojrzałej!) lekkomyślności, jak dobrą szkołą był dla młodych pisarzy, jak im rozwiązał języki. Ale dziś, kiedy feljeton zaczyna się stawać *kanonem* dla publicysty — trzeba by to zrewidować. Ze ma on swoich przyjaćiół, temu dziwić się nie można: czyta go się tak łatwo. Gorzej, że dla wielu staje się jedyną lekturą, że myśl nie przesypana „rodzynkami” przestaje chwytac, i że te rodzynki muszą mieć smak coraz ostrzejszy, aby wogóle były jadalne. Nie wydaje mi się bezpieczne to ciągle na-

stawienie na grę słów, okazję do pointy, na psoty, przyczki, kopniaki i uśmiecki — dla publicysty, który chce coś zbadać, coś powiedzieć, o czemś poinformować. Wpada się w inną odmianę „prawdy stosowanej”. Stosowanej — do czego? Do koleterji z konjunkturą, z gustami anemiczno-pikantnych rozłasknieni. Przeciw feljetonizmowi wyciąga się u nas, monumentalnych coprawda rozmiarów, ale chrome, ślepe i dychawiczne kobylki metafizyczne. To nie ratunek. Obrażanie się na rzeczywistość i odwracanie się od niej plecami — nie nie pomoże. Sojusz giętkiej myśli z badawczym i poważnym stosunkiem do tematu staje się dla naszej publicystyki postulatem nagłym.

HALLO ALI

Tym wykrzyknikiem zwraca się do wielkiego bandyty amerykańskiego Al Capone przedmowa niedawno wydane tłumaczenia wielkiej sensacyjnej biografji Ala p. t. „Podziemna dyktatura” (Gebethner i Wolff).

Wszystko, co wiemy i co mówimy o Ameryce, wszystkie te utarte frazesy o „kraju rekordów”, sensacyj, humbugów, awantur z tysiącami i jednej nocy — wszystko to, co przepuszczone po tysiącokroć przez zużyty wyzmaczkę dziennikarską przybiadło już, a nawet stało się czemś niewiarogodnym — odżywa znowu w tej książce z całą frenezją gestu, koloru, niebywałego rozmachu.

Skoro już mają być książki sensacyjne — to niechby takiej Ostatecznie zapoznaliśmy się z figurą, co się nazywa historyczną, z faktami autentycznymi, z szeroko namalowanym obrazem przeszłości, a niemal teraźniejszości amerykańskiej. Sensacja ma tu na usprawiedliwienie — prawdę. I przez to właśnie staje się sensacją w kwadracie!

Czytając o przygodach i dziwnych kolejach Ala Capone, musimy rozciągać skalę naszej chuderławej wyobraźni europejskiej, aby wżyć się, ba, aby uwierzyć w prawdziwość tak wielkiej awantury. Książka ta zresztą poza swą sensacyjnością dostarcza czytelnikowi uważnemu sporo materiału refleksyjnego. Jest ona przedewszystkiem ilustracją starej prawdy, o której się jednak zapomina, jak wielkim argumentem jest w historii i życiu *powodzenie*. Bo choć ostatecznie biedny Al znalazł się w więzieniu i to już tym razem „na fest”, nie w tem dawnym więzieniu luksusowym i urządzonym niby garsonjera bogatego panica, lecz w takiej sobie zwykłej celi jak pierwszy lepszy statysta bandytlizmu — to jednak ileż to czasu upłynęło, zanim do tego doszło! Bo był czas, kiedy Capone reprezentował jakgdyby mocarstwo, on sam był tem mocarstwem. Pełnią jego organizacji, szerokie gesty jej szefa, przypominającego raczej jakiegoś plutokratę w wielkim stylu, a zarazem niecenusa z fantazjami, niż przemysłnika — wszystko to nie kojarzy się z pojęciem „bandyty”, za jakiego uważa go przeciwny czytelnik naszej prasy. Al Capone ścigano, pomstowano na niego — ale się go bano, ale go na swój sposób szanowano. Jak każdy bandyta w wielkim stylu, potrafił być szczodrym, dobrodusznym, miękkim w obęciu ze słabszymi, podporą ubogich — a zarazem niewymownie hardym i wyzywającym wobec przeciwników. Stał tuż na granicy wielkości. Dodajmy do jego rozmachu, inicjatywy, śmiałości bodaj cieni jakiegoś podłoża ideowego — a nikt nie poważyłby się zlekceważyć tej, niepospolitej bądź co bądź, postaci. Capone nie był to zwykły polawiacz zysków, był to człowiek, który najwyraźniej nie mógł się wcisnąć w ramy nakazów państwowych, który chciał i mógł żyć tylko w swoich ramach. Przemysłnictwo, żądza zysków — to był raczej dynamit, który podkładał pod „konkurencyjny” rząd amerykański, niż wytrychy złodzieja, chcącego się obłowić. Ten pęd, to pragnienie władzy, ten niemierny instynkt i potrzeba przygody doskonale oddane są w tej książce. Niema mowy, ludzie, którzy wywodzą się od tego typu bandytów, mają genealogję, która się liczy.

Harmonijna współpraca A. Nowaczyńskiego (świetna przedmowa) i A. Wata (doskonała polszczyzną napisany przekład) — jak się tego można było spodziewać — dała najlepsze rezultaty, oprawiając w doskonałą ramę językową i poprzedzając kilkoma strzelistymi uwagami tę płomienną opowieść o bohaterze-przemysłniku.

J. E. SKIWSKI

